



E. RAJ

POZIERCA

POŻERCA



PO

ŻER

CA

E. RAJ

SŁOWO OD AUTORKI

Drogi Czytelniku!

Dziękuję Ci za danie szansy mojej nowej książce. Historia ta nie przypomina moich poprzednich powieści, gdyż jest to pozycja z gatunku lekkiej fantastyki przygodowej z elementami steampunka, sf oraz romansu. Mam nadzieję, że żywa akcja, narracja pierwszoosobowa oraz bardzo kapryśna, nietypowa bohaterka – przypadną Ci do gustu.

Historia przeznaczona jest dla osób pełnoletnich.

Życzę Ci przyjemnej lektury!

Z poważaniem

E.Raj

Mapa Sayeri



SKANDAL

I znowu ten sen. Pocę się, wiercę, ale nie mogę się uwolnić. Mrok ożywa w moim uśpionym umyśle. Ściany mają gładkie powierzchnie, lecz chwilę potem kryształowa, cienka jak włos płaszczyzna przecina je na pół niczym gorący nóż masło. Jedna, a potem druga i trzecia. Ściana jeży się niezliczonymi, ostrymi jak brzytwa taflami stworzonymi z pustki i szatkuje na milion pasków. Rzeczywistość rozcina się bezszelestnie, a ja tylko patrzę jak wszystko... trafia szlag.

Pożerca niszczy świat.

Nie mogę nic zrobić. Otwieram oczy.

Kiczowaty, różowy baldachim nad moją głową wzdyma lekki powiew. Wstał cudowny poranek, obrzydliwie piękny i radosny. Tylko ja nie jestem radosna, taki stan ducha rzadko mnie nawiedza. Przybieram na twarz kwaśny grymas. Jak zawsze.

Niechęć, pogarda, wyniosłość.

Jestem zepsuta, próżną księżniczką i nie zamierzam się tego wypierać.

Stukotka podfruwa do łóżka, jakby tylko wyczekiwała na jakieś poruszenie. Zawsze tak robi: nasłuchuje moich oddechów, a gdy się zmieniają – przynosi mi szklankę pudyi. Od lat piję ją, jak tylko się obudzę. Podobno dodaje wigoru i przedłuża życie, ale to tylko miejska plotka. Jest pyszna i kosztuje całego srebrnika, a to nie pozostaje bez znaczenia – bo pija ją tylko arystokracja.

Mifi, w nerwowej ekscytacji, zaczepia o opadającą tkaninę baldachimu i pudyia rozchlapuje się na szafkę stojącą przy łóżku, na atłasową pościel i na moją pierś.

Biorę zamach i uderzam ją w twarz.

Nauczy się.

Jej okrągła głowa z wielkimi, talerzowymi uszami odskakuje jak piłka. Wygląda to trochę śmiesznie, prawdę mówiąc, miałabym ochotę to

powtórzyć. Stukotki są jak muszki octówki. Odmiana, do której należy, obdarzona jest wyjątkowo atrakcyjnymi skrzydełkami. Niektóre mają kolorowe, niektóre takie jak émy, a niektóre nie mają ich wcale. Moja ma tęczowe, przejrzyste, połyskujące. Posiada też pocieszny ogonek, cienką szyjkę i duże, kuliste oczy w kolorze ametystu.

Wstaję i z godnością odsuwam pochłapaną pościel. Z niejaką zgрозą odnotowuję, że pudrya rozlała się po okładce książki leżącej na szafce. Marszczę brwi, podnosząc ją – to wszak moje ulubione Opowieści Czerwonej Wojowniczkii, dzieło pewnej zdolnej gnomiej autorki – Avdu Humf. Stukotka nerwowo wyjmuje mi tomik z ręki i pracowicie wyciera go fartuszkiem. Mijam ją z ostentacyjnie skrzywioną miną i podchodzę do srebrnego lustra, które znajduje się przy polerowanym sekretarzyku z ciemnej, szlachetnej akacji.

Dostrzegam swoją dumną twarz i mam ochotę pokazać sobie język, ale oczywiście tego nie robię. Nie wtedy, gdy służba jest w okolicy. Pierś ocieka mi pudryą, różową jak wyposażenie połowy mojej komnaty.

Sama zdecydowałam o takim wystroju. Róż miał być wszędzie, jak bluszcz kojąco wspinać się na ściany. Moja maskarada. Chciałam, by ojciec przestał patrzeć na mnie jak na odmieńca. By traktował jak swoje pozostałe córki, a nie jak dziecko specjalnej troski. A niestety ma do tego wszelkie powody. Sama mu je regularnie podsuwam.

Wydymam usta i przyglądam się swojemu odbiciu.

Jestem błada w ten mało arystokratyczny, przeźroczysty sposób. Mojej cerze brak perłowego, elfiego połysku – charakterystycznego szlachetnego odcienia alabastru, który podziwiają u panien wszyscy szykowni kawalerowie.

A to wszystko dlatego, że co noc śnię o tym, jak nicość szatkuje rzeczywistość, niszczy ten świat. Zatem nie mogę być różowa i słodka jak brzoskwinia, bo to stanowiłoby dysonans.

Uśmiecham się, trenuję zastygłe policzki, ponieważ dziś będę się dużo więcej uśmiechała. Są urodziny księżniczki Valuu, siostry księcia Verantee. Mojego kochanka.

W drodze do posiadłości książąt Saffoy musimy zmienić trasę. Okazuje się, że przeszło Letniego Mostu jest zawalone, wokół niego zebrała się grupa gnomich budowniczych. Trzęsienia ziemi niemal z każdym miesiącem coraz mocniej dają się stolicy we znaki. Nasz pękaty, złożony kocz, tocząc się jak pyzata, lśniąca piłka, zawraca i wybiera trasę przez dzielnicę Xun, niestety.

Cóż to za koszmarne przeżycie!

To moja trzecia wizyta w Xun i mam szczerą nadzieję, że ostatnia.

Przez okno karocy widzę tłumy mieszkańców tej ubogiej sekcji miasta, czuję ciężki zapach, korzenny, dymny. Zapach potu i tanich perfum portowych dziwek. Zapach łajna i zapach ulicznego żarcia za pół miedziaka.

Dookoła powozu kręci się odrażająca menażeria, z jaką na co dzień, na szczęście, nie muszę się kontaktować. Orki, gobliny, ludzie, trolle, krasnoludy i koboldy. I ten ich smród... wyczuwalny dla mojego wyrafinowanego elfiego powonienia nawet z dużej odległości.

Mamy pecha. Ulicą idzie manifestacja.

Z pewnym zainteresowaniem przyklejam głowę do szyby.

Grupa orków i orklinów niesie prymitywne transparenty. „Uwolnić galerników z Savelly!”, „Sprawiedliwość dla orków z Savelly!” – głoszą napisy. Uczestnicy protestu wznoszą podobne okrzyki. Straż miejska spycha ich z drogi, ale oni idą dalej z mściwym wyrazem na swoich parszywych, orczych pyskach. Brudni, cuchnący, odrażający i dziwnie zdeterminowani.

Jestem ciekawa, o co poszło, ale nie na tyle, by spytać ojca. Życzę sobie tylko, by to plugastwo trzymało się z daleka ode mnie i mojego ekskluzywnego elfiego świata.

Przysłaniam nos chusteczką nasączoną vimarskimi perfumami i odwracam wzrok. W naszym elfim mieście tacy jak oni mieszkają w wyznaczonych gettach, to tradycja. Taki tu panuje porządek rzeczy. My, elfy, mamy permanentny kompleks wyższości nad innymi rasami i to nastawienie odzwierciedla nasz ład społeczny.

Ojciec przez chwilę wpatruje się w manifestantów, a potem odwraca swoją bezbłędnie piękną twarz od okna i podnosi gazetę, oddzielając się od nas papierową ścianą. Dziś czyta „Słowo Stolicy”, konserwatywny tygodnik poświęcony sprawom miejskich elfów z Vestigrodu. Okładka krzyczy: „15 zabitych! Kolejne trzęsienie ziemi zawala nawę boczną w świątyni Mitral”. I już po chwili ojciec traci zainteresowanie światem zewnętrznym.

Za to moja matka nadal wpatruje się w orkliny zwężonymi, mściwymi oczyma.

Nienawidzi ich od zawsze, tak jak i zresztą wszystkich innych przedstawicieli nielfów oraz małego ludka. To forma sekretnej nienawiści do siebie samej. Ona także jest mieszańcem, półelfem, kundlem – jak ich pogardliwie nazywają pełnokrwiste elfy. Gardzi swoją niechlubną połówką, a przez nią także i ja siebie nienawidzę. W końcu dzielę z nią jej krew i kundli status.

Kiedy mijamy ostatnie szeregi protestujących, odnoszę nawet wrażenie, że matka za chwilę splunie przez okno. Ma ocean jadu w oczach, gdy śledzi wzrokiem grupę brudnych manifestantów. Ostatecznie jednak się opanowuje. Tylko usta drgają jej z powstrzymywanej, dobrze mi znanej pogardy. Nie robi takich rzeczy na oczach ojca. To byłoby wulgarne, a ona nie chce się tak prezentować – prymitywnie i nieokrzesanie jak połówka jej krwi.

Ta dzika. Ta obca. Ta nie... elfia.

Matka zachowuje więc pozory, pokazuje światu uprzejmy uśmiech, dba o obyczaje, konwenanse. Udaje, że nie ma nadnaturalnej siły i gwałtownych, pierwotnych reakcji. Udaje, że jej temperament wcale nie jest... ognisty.

Tak bardzo nie chce być sobą, a cień tej nienawiści do siebie samej – pada od zawsze na mnie.

I ja też jestem nią wysycona.

Miejska posiadłość książąt Saffoy jest biała, marmurowa i odznacza się klasyczną, elfią architekturą: smukłymi wieżyczkami, krążgankami, arkadami. Do tego otacza ją ogromny, dopieszczony ogród, prawdziwe dzieło sztuki. To właśnie w nim odbywa się dzisiejsza uroczystość. Rezydencja nie ustępuje rozmiarem i przepychem miejskiemu pałacowi mojego ojca. Oczywiście nie byłoby to stosowne, skoro zarówno książę Saffoy, jak i mój ojciec są jednymi z siedmiu wielkich arcyksiążąt imperium. Wszyscy podlegają imperatorowi, ale każdy z nich rządzi samodzielnie siedmioma dużymi księstwami. Dlatego nazywani są septemami i nikt nie ma większej władzy niż oni – oprócz Elarina, władcy Elfhayen.

Ja jestem siódmą córką arcyksięcia septema Alantis, pochodzącą od jego trzeciej żony. Pierwsza powiła mu jedynego syna i zmarła. Druga wydała na świat pięć córek i się powiesiła. Trzecią przywiózł sobie z Ognistej Wyspy. Ona urodziła mu moją siostrę Lenę i... mnie.

Idę obok matki ubrana w głupią, puchatą sukienkę z valeyskiego jedwabiu w odcieniu jasnej mięty. Nie pasuje do mojej cery, bo wydobyla jej bladej koloryst. Naszyto na nią miriady maleńkich rubinów, podobnych w barwie do moich krwistoczerwonych ust, będących niezwykłym darem natury. Moje równie krwiste włosy zostały zebrane wysoko w kok, tak by odsłonić podobno szlachetnie uformowany

kark. Służąca, Pufna, wpięła w nie rubinowe szpilki i ustroiła miętowym, małym toczkiem. Rubinowe kolczyki w kształcie liści alryntu oraz rubinowy naszyjnik uzupełniają kreację.

Mówią, że jestem bardzo piękna, ale ja nie znoszę tego upokarzającego słowa. Wydaje mi się pozbawione tajemnicy. Ludzie obdzierają cię z niej, nadając ci tę etykietę, musisz pasować do określonej przegródki. Nienawidzę tego.

Chociaż jest jeden wyjątek. Kocham, kiedy on tak o mnie mówi.
Verantee.

Jedyny interesujący mężczyzna, jakiego spotkałam w swoim życiu. Oprócz mojego brata, oczywiście. Ale jego tu nie ma, on nie daje się wciągać w ten wir próżniactwa i próżności, bo lubuje się w innych rozrywkach.

Ojciec odchodzi na bok, do swoich interesów. Moje starsze siostry są już zamężne, więc nie przyjechały tutaj z nami, tylko niezależnie, ze swoimi małżonkami, a jedyna niezamężna siostra, Lenya, przebywa u dziadków na Ognistej Wyspie.

Matka prowadzi mnie między ciotkami Saffoyów, ich kuzynkami, szwagierkami i pozostałymi gośćmi z rodzin innych septemów. Saffowowie, podobnie jak my, są świetnie i szeroko skoligaceni.

Żeglujemy w morzu białego jedwabiu, srebrnego batystu, kremowego tiulu, złotych muślinów, pastelowych szyfonów. Kolory wypełniają moje oczy jak stubarwna łąka, kołysząca się, szumiąca plotką, szeptałmi, śmiechami... ale także bezwzględnością, kipiąca trującym jadem. Wachlarze trzepocą tuż przy pudrowanych twarzach jak sztuczne powieki, a diamentowe binokle podnoszą się do oczu we wścibskiej próbie odszukania u gości ich sekretów i niedoskonałości.

Na mnie też patrzą, szczególnie czujnie.

Co tym razem wymyślę?

Ostatnio, na przyjęciu u kuzynki Fey, pojawiłam się ubrana w czarny surdut grabarski. Tak po prostu, z nudów. Matka nie odzywała się

do mnie przez miesiąc. Nie zrobiło mi to żadnej różnicy, bo i tak nigdy nie ma nic ciekawego do powiedzenia.

Teraz wszyscy mnie obserwują.

Oto kroczy Maya, księżniczka uchybień, królowa kontrowersji, pani niezręczności.

Z zemsty – tnę ich w głowie rzędem szklistych tafli nicości, wszystkich po kolei. Widzę to tak wyraźnie, jakby było rzeczywistością. Moja wyobraźnia jest potężna.

Pożerca nigdy mnie nie zawodzi.

Rozcinam głowę ciotce Puliel.

Ta stara jędza wygląda jak szczur.

Ma chyba tysiąc lat i ciągle jeszcze uważa się za ostrą zawodniczkę. Zna wszystkich, wie o wszystkich – wszystko. Właśnie rozcięłam jej czaszkę na pół i z przyjemnością oglądam, jak dalej rozmawia, łypiąc połową oka. Sztuczna szczeka trzyma się tylko na kawałku kości. Puliel będąc o pół tysiąca lat starsza od swojego brata, septema Saffoya, poczuwa się do roli opiekunki całej rodziny. Chce mi się śmiać, bo pozostaje kompletnie nieświadoma, że właśnie wykonałam na niej wyrok. Pije musujące wino z Bambitti i żartuje ze swoim cherlawym prawnikiem, Valdunciem, który nawet nie próbuje ukryć faktu, że jest na haju. Jego błyszczące oczy to jedyny dowód, jakiego mi potrzeba.

– Ha, ha, ha! – śmieje się Puliel i macha w powietrzu suchym palcem. Rozpuszcza o mnie plotki od dekady. Znam wiedźmę jak zły szeląg.

Mijam tę dwójkę i litościwie wyciągam taflę nicości z ozdobionej kofurą głowy ciotki. Dziś pozwolę jej żyć, bo dziś zobaczę jej siostrzeńca, Verantee. Uśmiecham się i żegluję w stronę księżniczki Valuu, którą dostrzegam na horyzoncie mieniącym się kolorami jedwabiu i satyny.

Na tarasie nisko schodzącym w piękny ogród Saffoyów stoi uwieszona na ramieniu swojej matki i śmieje się radośnie. Jest śliczna i promienna. Może nie tak śliczna jak ja, no ale całkiem niczego sobie. Z pewnością jest za to bardziej skromna!

Dziś są jej siedemdziesiąte urodziny, co oznacza, że przechodzi nuun, czyli dorosła do wieku, w jakim może być wydana za mąż. To elfia pełnoletniość. Jest w znakomitym humorze, tryska wprost radością i wigorem. Ona także pije pudycię jak każda szanująca się elfia panienska. I jak ja zaczytuje się w książkach gnomki Avdu Humf, choć robi to w tajemnicy przed rodzicami.

My, miejskie elfy, mamy swoje zwyczaje i swoje brzydkie sekrecyki. Część z nich kocham, bo dodają życiu pikanterii. Ale większości nienawidzę; to taka moja pasja. Nienawiść wydaje mi się łatwiejsza niż oddychanie.

– Valuu, najśłodsza! – woła na jej widok moja matka.

Rusza do przodu tak ostro, że boleśnie potrąca mój łokieć. Często zapomina o swojej niezwykłej sile. Całuje w powietrzu policzki młodszej pociechy Saffoyów. Septem Saffoy ma tylko dwoje dzieci. My, z naszą ósemką, jesteśmy rzadkością wśród miejskich elfów, które nie lubią się rozmnażać i robią to sporadycznie, niski przyrost demograficzny rekompensując obrzydliwie długim życiem.

Uśmiecham się do niej szczerze, bo Valuu jest urocza i niewinna – to dziewczyna o czystym sercu i zdumiewająco dobrych intencjach. Nie da się jej nie kochać, powiem więcej: nie da się jej nie wielbić. I ja faktycznie skrycie ją wielbię – za to, że jest zawsze szczęśliwa. To coś, czego ja nigdy się nie nauczyłam.

Przypatruję się jej spod oka, a moje usta składają się do słodkiego i sztucznego powitania. Roztaczam swój czar, chwalebę jej suknię i piękną fryzurę.

Jej włosy nie są tak wulgarne w kolorze jak moje, no ale jej matka nie pochodzi z Ognistej Wyspy i nie ma w swoich żyłach domieszki krwi elementali ognia. Jej loki są czarne jak sadza i przepięknie kontrastują z alabastrowym odcieniem skóry. Tak, ona jest jedną z posiadaczek tej sławnej, perłowej elfiej cery, podczas gdy ja muszę używać barwiczki.

Szybko pokonuję przyływ zazdrości. W takich chwilach pocieszam się, że ona nie musi zmagać się z nicością buszującą na peryferiach jej umysłu. Jej myśli nie zakłóca Pożerca. To mnie podnosi na duchu, od razu czuję się lepiej. Odrobina użalania się nad sobą i zaraz humor szybuje mi w górę. Tak funkcjonuję od lat.

– Mayu, tak się cieszę, że cię widzę! – zwraca się do mnie Valuu. – Bardzo chciałam, abyś przyszła, mamy dziś specjalny wieczorny pokaz, który może cię zainteresuje! Zaprosiliśmy magów ognia, będą fajerwerki i teatr światła!

Pod wpływem fali nerwów moje ciało się napina, ale zmuszam się do wyszczerzenia zębów w absolutnie sztucznym uśmiechu.

Oczywiście wiem, dlaczego jestem tak szczególnie „pożądanym widzem” na pokazie ogni. Valuu robi niewinną aluzję do mojego ogni-stego pochodzenia, sądząc naiwnie, że sprawi mi tym przyjemność. Głupiutka dziewczyna. Wspominanie braku czystości rasowej razi większość arystokratów ze starszych rodzin. Ona zdaje się to ignorować z niewymuszonym wdziękiem, traktować jako ciekawostkę, coś kompletnie nieszkodliwego. I może rzeczywiście tak czuje?

Matka leciutko sztywnieje, wiernie odbijając moją reakcję. Cóż, obie się tu wyróżniamy z naszymi dziwnymi, karmazynowymi włosami i nietypowymi, ogniste bursztynowymi oczami.

Tylko ona wciąż chce udawać, że jesteśmy takie same jak reszta. Ja dawno przestałam i dlatego nie możemy się porozumieć.

Obracam się i chwytam dwoma palcami kieliszek rubinowego wina z tacki przechodzącego obok kelnera. Muszę się lekko pochylić, bo miejski gnom ledwo sięga mi do ramienia.

Wino pachnie pięknie, a ja od nuun, które przeszłam pięć lat temu, mogę już oficjalnie pić alkohol bez konieczności oglądania głupich min czy uniesionych brwi elfich plotkar. Zanurzam nos w kieliszku i sączę sobie łyczek po łyczku. Smak jest znakomity, czuję go na końcu

języka, spływa powoli w głąb gardła i rozgrzewa mnie, pomagając zapomnieć o złośliwych elfich jędrach.

Czekam cierpliwie na przybycie Verantee, wiem, że jest gdzieś w pobliżu, zaraz się pojawi...

W pewnej chwili podchodzi do nas septem Saffoy, ojciec mego kochanka. Chce się tylko przywitać, bo tak gospodarzowi wypada. Jest ładny podobny do syna, co sprawia, że moje serce lekko przyspiesza. Jego długie, smoliste czarne włosy przypominają płynny atlas. Oczy obaj mają takie same – podobne do gwiazdzistych szafirów. Dzieli też z Verantee tę nierzeczywistą, bajkową urodę, mogliby być bliźniakami.

Uśmiecham się czarująco i wykonuję piękny ukłon. Wolę być z nim w dobrych układach. Może to mój przyszły teść?

– Mayu – mówi głosem, w którym brzmią władcze tony. Septem Saffoy jest najbogatszym ze wszystkich siedmiu arcyksiążąt, a to za sprawą wyjątkowego zmysłu do interesów.

Jego wzrok przez moment zawiesza się na mojej twarzy, dziwnie badawczo, wnikliwie. Wyciąga dłoń, którą ujmuję. Obdarza mnie dość mocnym uściskiem, chyba odrobinę mocniejszym, niż powinien.

Robię się czujna, czy coś jest na rzeczy? Spłoszona uważnym spojrzeniem mężczyzny postanawiam ustąpić mu pola, bo w tym pojedyńku nie wygram. Kiwam głową przepaszająco i oddalam się na kilka metrów, by oprzeć o balustradę pobliskiego tarasu. Ale jego wzrok ściga mnie przez chwilę, a brwi wciąż lekko się ściągają.

Z czym masz problem, Saffoy? Powiedz to głośno, zamiast się na mnie gapić.

Chcę się odwrócić, ale dostrzegam, że matka tłumaczy się przed nim z naszego spóźnienia. Oczywiście wspomina o orkach, po prostu musi! Musi wyrzucić z siebie swoje uprzedzenia i obrzydzenie. Ponarzekać. Powtarza wciąż te same komunały, truizmy, od których mój mózg zamienia się w dymiącą papkę. Do tego nawet nie potrzebuję Pożercy.

Uważnie rozglądam się dookoła, obserwuję gości przybyłych na urodziny Valuu, a kolejny łyk rubinowego wina przyjemnie drażni moje podniebienie.

Prawda o mnie jest skomplikowana.

Nienawidzę tego świata, a jednak do niego należę.

Niby nie mam wyboru, choć przecież mam wybór! Po prostu jestem zbyt słaba, by go dokonać. Wybór wolności kosztuje, wiem, bo dokonał go mój brat, Skylar. Ten wybór oznacza upadek poza bezpieczne ramy elfiego świata, a ja mam kruche kości. Przynajmniej tak teraz sędzę.

On uciekł, ja nie. On się ich wyrzekł. Ja zostałam.

Na ten moment nie czuję się gotowa, by odejść, choć wiem, że trucizna tego świata wypełnia moje żyły jak krew, jak narkotyk, jak używka. To boli okrutnie, ale też daje rozkosz.

Codziennie budzę się w tym obrzydliwie perfekcyjnym świecie – na ciężkim kacu.

Z pewnym zdumieniem zauważam, że mija mnie dwójka starszych synów septema Valberna. Co oni tu robią?! Valbern rzadko odwiedza Saffoya, bo ci dwaj za sobą nie przepadają. Obecność jego potomków jest tym bardziej niezwykła.

Starszy z nich, Lerin, obrzuca mnie ciekawskim spojrzeniem.

Jest wysoki, ale przy tym barczysty, co daje niemal nie-elfi efekt. Widzę jego dziwny wzrok. Kolor oczu ma podobny do koloru oczu mojego ojca, tak jasny, że niemal biały, co tworzy wyjątkowo nieprzyjemne, lodowate wrażenie.

Przechodzi mnie dreszcz.

Z czym i ty masz problem, Lerin?

Co się szykuje? Czemu tu przybyli?

Nie są tak bezpośrednio skoligaceni z Saffoyami, aby pojawiać się na zwykłych uroczystościach rodzinnych.

Wzdycham i dokładnie wtedy dobiegają mnie pełne ekscytacji słowa Valuu, które uchylają rąbka tajemnicy związanej z ich obecnością.

– Szkoda, że się spóźniliście! Ominęła was wielka sensacja! – Valuu pochyła się w stronę mojej matki, a jej szafirowe oczy błyszczą z ekscytacji. – Verantee zaskoczył nas wszystkich, ogłaszając swoje małżeńskie plany!

Co, co, co?!

Czas się zatrzymuje.

Bum!

I nicość znowu mnie osacza. Pożerca się budzi. Widzę, jak cienkim brzytwą szkliste ostrza tną rzeczywistość na małe kawałki. Świat osuwa się w dół i w bok, destabilizuje.

Chwieję się.

Z pomocą przychodzi mi trzęsienie ziemi. Lekkie, subtelne, ale na tyle dogodne, że nikt nie zauważa, jak bardzo drżą moje ręce. Od paru miesięcy wstrząsy zaczęły pojawiać się w stolicy. Teraz są tak częste, że każdy je ignoruje albo przynajmniej udaje, że to robi. A ja mam ważniejsze sprawy na głowie.

Małżeńskie plany mojego kochanka. Moja własna tragikomedia.

Valuu tak powiedziała, nie przesłyszałam się.

– Jego wybranką jest księżniczka Rosiel! – Widzę, jak różowe usta jego siostry wypowiadają te mordercze słowa. Równie dobrze mogłaby dźgać mnie sztyletami. Wciąż i wciąż, i wciąż. Bezlitośnie. Aż moje trzewia zamieniłyby się w tatar.

Wszecławiat nieruchomieje, tylko moje serce wciąż niespokojnie bije. Bum, bum. Bum, bum. Wybranka! Plany! Rosiel!

Rozglądam się powoli, jakby nic się nie stało, chociaż stało się wszystko.

Świat drży jak obrzydliwa galareta. Elfie twarze rozciągają się i deformują. Całość scenerii staje się karykaturalna, wynaturzona, powyginana niczym odbicia w cyrkowym gabinecie luster. I tylko Pożerca

szaleje w swoim żywiole, tnąc wszystko i wszystkich dookoła w cienie nitki nicości.

Wtedy – dostrzegam go wreszcie, jak wynurza się z drgającego chaosem krajobrazu, który mój mózg nakłada na rzeczywistość niczym filtr.

W końcu nieuchronnie każdy z nas zmierza na czołowe zderzenie z przeznaczeniem, kurs kolizyjny z podłym losem. To jest właśnie taki dzień, dzień mojej klęski.

Verantee nie spieszył się z odszukaniem mnie, bo niby w jakim celu miałyby to robić? Teraz to oczywiście rozumiem. Idzie wolno tarasem, jakieś pięć metrów ode mnie, a pod rękę prowadzi Rosiel.

„Jego wybranką jest księżniczka Rosiel”. Wciąż widzę, jak poruszają się różowe usta Valuu, ale moje oczy fiksują się już na innych ustach. Malinowych wargach jego narzeczonej.

A byłam taka twarda, harda, niepokonana. Zawsze ponad to! Śmieszne sentymenty, to nigdy mnie nie definiowało. Złamane serca i podeptane róże? Ale ubaw!

„Jego wybranką jest księżniczka Rosiel”. Szepczą różowe usta, pochwycone w pułapkę czasu. Jej słowa odgrywiają się od nowa w nurcie moich myśli. Wciąż. I wciąż. I wciąż.

Jego wybranką...

Jego wybranką...

Jego wybranką...

Przypominam sobie dzień, gdy Verantee po raz pierwszy mnie pocałował.

– Masz takie czerwone usta, jak rubiny – powiedział, gdy spacerowaliśmy po jego ogrodzie, a nad naszymi głowami wybuchały feerie fajerwerków. Otoczył moje ramiona i przygarnął mnie do siebie. Chciałam odpowiedzieć coś sarkastycznie, zbyć go celną ripostą. Wyśmiać ten banalny komplement. A może nawet gniewnie fuknąć? Ale zamiast tego pozwoliłam mu się pocałować. Z pasją, namiętnie, kosmicznie.

Fajerwerki nad naszymi głowami. Rubinowe usta – moje. Malinowe usta – jej. Teraz to je całuje, spijając z nich malinowe wino.

Stoję bez ruchu, gdy do nas podchodzą.

Oczywiście nasz romans jest sekretem. Pozornie.

Z pewnością ciotka Puliel o nim wie, gdyż ona wie... wszystko. Spotykamy się w dziwnych miejscach i o dziwnych porach. Wymyślamy niezwykle plany, niezwykle sytuacje. Opracowujemy cały system komunikacji z użyciem pośrednictwa stukotek i chochołków. Jesteśmy sprytni – musimy – bo elfy nie patrzą przychylnie na romanse przedmażeńskie.

W społeczności miejskich elfów małżeństwo zawiera się raz na całe życie, w wieku mniej więcej stu lat. Nie istnieją rozwody. Owszem, czasem zdarzają się romanse, ale nikt się z ich powodu nie rozstaje.

Nad kwestią doboru partnerów trzeba się dobrze zastanowić, trzeba się doń psychicznie przygotować. W końcu spędzi się wspólnie kilkaset lat, albo i dłużej. Elfy miejskie żyją krócej niż elfy leśne, ale nadal jest to bardzo długi czas i pomyłka może być dramatyczna w skutkach.

Małżonkowie są ze sobą spajani specjalną energetyczną więzią, którą zerwać może tylko śmierć. Rytuał Qu'yan przeprowadzają Starsi, specjaliści kapłani pracujący z energią. Jego prawidłowe wykonanie pozwala kontrolować reprodukcję i musi przypaść na wiek mniej więcej stu lat, w przeciwnym wypadku, po przekroczeniu tego wieku, nasze układy rozrodcze zaczynają działać chaotycznie, sprowadzając na nas kłopoty, nieopanowane pożądanie i niechciane ciążę.

Sprowadzają chaos, a to bardzo nie-elfie.

Verantee najwyraźniej już się zastanowił. Przemysłał sprawę i wybrał.

Tak jak i ja, on przekroczył już nuun. Ja pięć, on dwadzieścia lat temu.

A to znaczy, że do niebezpiecznej granicy, czyli do setki, zostało mu zaledwie dziesięć lat. Niezwiązane elfy, które wkraczają w ten wiek, wchodzą w tak zwaną permanentną ruję, zwaną Va'lar. Jest to trudny

okres, bo nasza zwykle opanowana i powściągliwa rasa gardzi tego typu stanem, a jest on wyjątkowo zwariowany.

Jak mawia mój ojciec: świrujemy.

Libido rośnie, rozsądek maleje, po głowie chodzą szalone myśli. Buntujemy się. Walczymy. Wzbudzamy rewolucje. Stajemy się bardzo... ludzcy. Elf w fazie Va'lar jest wrogiem społecznym. Ma głupie pomysły. Chce zmieniać świat. Jest zagrożeniem dla ładu i porządku. Żyje szybko. Ryzykownie.

Dlatego małżeństwa są takie ważne. Nakładają nam energetyczny kaganiec.

Verantee ma coraz mniej czasu. Zabawił się, skorzystał z młodości, poromansował. Pora wydorośleć, pomyśleć o przyszłości, tak, oczywiście. To przecież odpowiedzialne.

Cholera.

- Masz takie czerwone usta, jak rubiny - powiedział to wtedy z uśmiechem, a jego szafirowe, gwieździste oczy płonęły pomiędzy czarnymi rzęsami.

Był piękny, po prostu bezbłędny. I najlepsze, że wcale nie starał się mnie poderwać. Bo na zwykle zaloty nie dałabym się nabrać.

Kiedy przyszedł na Wiosenny Bal przebrana za topielca - jako jedyny uśmiechnął się do mnie i puścił mi oko. Kiedy upiłam się podczas Święta Przesilenia, zdążył podstawić mi miskę akurat na czas, aby uratować moją suknię. Kiedy podpaliłam altankę na pogrzebie pewnego septema... wysłał mi w prezencie dymną różę.

Nigdy mnie nie oceniał.

Rozmawiał ze mną bez tej całej pompy, konwenansów, pozorów. Opowiadał mi o swoich pasjach, zupełnie nie-elfich. Kochał chodzić do ziemnych aren i oglądać walki kunarów, orków i trolli. Obstawiał je, robiąc ryzykowne zakłady. Tracił na to fortunę, całkiem nieodpowiedzialnie. Na dodatek lubił pić veshkę, gnomią wódkę, i zażywał gwiazdny pył, narkotyk, który jest wśród elfów zakazany, bo robią

przez niego takie głupoty, o jakich nie powinno się nawet wspominać. Używał go jednak z większą klasą niż Valduncio, dlatego było to... niemal wybaczalne.

Był cholernie wolny. I to w nim kochałam.

Reprezentował to, czym chciałam być.

Dwa lata temu, po głośnym i ostatecznym odejściu mojego brata, pozostał jedynym, który pokazywał mi, że istnieje coś więcej poza tym gnuśnym i sztywnym światem elfiej stolicy. Był przykładem tego... że można inaczej żyć. Tuż pod ich nosem! Skaza, pęknięcie na doskonałej powierzchni elfiego świata. Akurat na tyle duże, aby nas w sobie pomieścić. We dwoje.

Życie w tym doskonałym świecie to coś, z czym nigdy nie pogodził się Skylar, który nie chciał kompromisów. Verantee przejął jego miejsce w moim życiu. Był dla mnie jak rurka dla tonącego, która pozwala brać desperackie oddechy. Pozwala... żyć.

„Jego wybranką jest księżniczka Rosiel...”

Mój świat kroi się na kawałki, szatkowany jedną, drugą, setną szklistą ścianą nicości.

Przejrzyste ostrza rozbijają ludzi dookoła mnie w milion kawałków. Nie panuję już nad swoim umysłem i nad rękami.

Podchodzą do nas.

Widzę ich jak w zwolnionym tempie.

Jakby brnęli w drgającej, gęstej galaretce.

Oczywiście Rosiel o nas nie wie, więc uśmiecha się do mnie tymi swoimi malinowymi ustami. Nie umyka mi, że to ona skierowała go w naszą stronę, dostrzegając moją matkę. On próbował sterować nią w kierunku ciotki Puliel. Chciał uciec? Ha, ha, ha. Niedoczekanie... Skąd to poczucie winy w grymasie ust twoich? Niemożliwe, Verantee! Nie ty! Ty zawsze byłeś ponad to. Ironiczny, niezależny, dumny i wolny.

Matka i Rosiel znają się dość dobrze, spotykały się razem u mojej kuzynki Fey, która się z nią przyjaźni. Rosiel także jest córką septema. Tak jak ja i Verantee.

Jej ojciec to... septem Valbern.

No tak. Powód jego dzisiejszego przybycia przestał być już dla mnie tajemnicą.

Valbern stoi nieopodal, rozmawiając z septemem Saffoyem. Jego mechaniczna, wykonana przez gnomy ręka zwraca uwagę. Połączenie ich rodów musi cieszyć obydwu mężczyzn, bo ich władza i pozycja jeszcze wzrosną. Mimo wzajemnej niechęci znajdują zapewne zalety w tym mariażu. Bogactwa Saffoya, koneksje Valbernow?

Matka Rosiel jest jedyną córką imperatora Elarina, a nie jakiegoś tam ognistego elementala! To – w oczach ambitnego księcia – daje jej dodatkowy punkt na skali małżeńskiej atrakcyjności. Nigdy wcześniej nie sądziłam, że Verantee jest... ambitny. Najwyraźniej nie wiedziałam o nim wielu rzeczy.

Chlust!

Cała zawartość mojego kieliszka ląduje na jej pięknej, uśmiechniętej twarzyczce. Na jej pięknych, srebrzystoniebieskich włosach, na jej pięknych malinowych usteczkach.

Miały być sceny z moim udziałem?

To będą!

Tradycji musi stać się zadość.

Moja matka i Valuu odruchowo piszczą niczym wystraszone szczeniaki. Septem Valbern i septem Saffoy nieruchomieją jak rażeni piorunem. Matka Valuu zasłania dłonią usta.

Książniczka Rosiel zamyka oczy w szoku i przyciska do twarzy skrawek szala.

Verantee nie wydaje z siebie ani jednego dźwięku, choć wsuwa się pomiędzy mnie a narzeczoną. Spodziewa się, że zrobię coś więcej? Chce ją chronić? Lub przynajmniej próbować...

Odważnie! Wie, że ze mną by nie wygrał. Ja mam w sobie krew elementalną. On jest czystej krwi elfem. Może mnie pokonać najwyżej... poczuciem wyższości.

Patrzę prosto w jego oczy, te oczy podobne do gwiazdzistych szafirowów i... czyżby pojawiła się w nich chmurka?

Wciąż stoję z podniesioną ręką, ściskając w niej szklany kieliszek.

Trzymam ją teraz tak, że znajduje się kilkanaście centymetrów od jego twarzy.

Wciąż patrzymy sobie w oczy.

Zastanawiam się, czy widzi w moich ogień?

Kiedyś powiedział, że gdy się wściekam, dostrzega w nich płomień. Czy dziś tam są? Nie wiem. Nawet jeśli tak, to szafirowa i chłodna toń jego tęczy nie umie ich ugasić. Co najwyżej tylko je podsycą.

On spogląda na kieliszek.

Ja spoglądam na kieliszek.

Powoli wzmacniam nacisk na szkło.

Uśmiecham się.

W tym uśmiechu zawieram wszystko. Całą mnie, taką, jaką poznał.

Trzask.

Wstrzymuję oddech. Nie przestaję się uśmiechać.

Ból jest potężny, większy niż sądziłam, ale jakby wbrew niemu na ustach pojawia mi się jeszcze szerszy uśmiech. Złowieszczy, niemal triumfujący.

Kieliszek kruszy się w drobne, cienkie kawałki szkła, rozpadając w moich palcach.

Otwieram dłoń, z której leci strużka krwi. Kap, kap, kap.

Odłamki zaczynają powoli spadać, posklejane krwią, jeden po drugim, w miarę jak lekko poruszam palcami, pomagając im odczepić się od mojej skóry. Niektóre tkwią jednak uporczywie wbite w ciało i nie chcą wypaść. Rozprostowuję rękę tuż przed piękną twarzą nieruchomego Verantee, jakbym chciała zatrzymać go tym gestem.

Moje pokiereszowane wnętrze dłoni znajduje się dokładnie na wprost jego nienaturalnie spokojnego oblicza i doskonałych, szafrowych oczu.

I wtedy, w tej jednej chwili, widzę w jego tęczęwkach błysk, który mówi mi, że wciąż mnie kocha i odczuwa jakąś dziwną radość, uświadamiając sobie, że pozostałam... jego Mayą. Nawet jeśli on przeszedł już na ciemną stronę. Do ich świata. Tego, od którego uciekał niemal przez sto lat.

Świadomość, że nie pomylił się co do mnie, sprawia mu orgazmiczną radość. Nie zawiodłam go. Taką mnie pokochał. Bo moja niepokorność znajdowała odbicie w jego niepokorności.

Wykonuje lekki, bardzo lekki ukłon. W tym jednym ruchu zawarte jest podziękowanie i pożegnanie.

– Moje usta są czerwone jak rubiny – szepczę na wydechu.

Bo to zdanie zapoczątkowało nasz romans i właśnie nim chcę go zakończyć.

A potem odwracam się i odchodzę.

Jednak zanim się oddalę, ponad ramieniem Verantee dostrzegam twarze septema Valberna i Saffoya.

Valbern jest wściekły. Szczęki mu drgają, jego mechaniczna ręka prostuje się i zaciska z nieprzyjemnym chrzęstem. Wygląda jak kotur, który szykuje się do ataku na swoją ofiarę.

A septem Saffoy?

Hmmm. Dziwne.

Co widzę w jego oczach? Ekscytację? Niewiarygodne! Rozbawienie? Satysfakcję? Mruga, ale napotkawszy mój wzrok, szybko przywołuje się do porządku. Przybiera ponurą, niemal teatralnie groźną minę. Jego twarz, stanowiąca żywe odbicie twarzy Verantee, dopasowuje się gładko do sytuacji i upodabnia do oblicza septema Valberna.

W tym jednym krótkim momencie uświadamiam sobie, że mój kochanek dzieli z ojcem pewne cechy wspólne, nawet jeśli septem zdołał je ukryć głęboko na dnie swojej duszy.

Wzruszam lekko ramionami i kieruję się ku wyjściu.

To nie mój problem, co skrywa w sercu niedoszły teść. Jaki śmietnik tam urządził z wszystkich niechcianych, wypartych pragnień, z wszystkich niestosownych kaprysów. Ten rozdział zamykam już za sobą, odprowadzana jego dziwnym spojrzeniem.

Brodzę więc przez morze kolorowych, szeleszczących sukien, płynę, żegluję.

Wszystko takie samo, ale jakby... zupełnie inne.

Głosy dookoła mnie tracą swoją realność, przestrzenność. Brzmiały metalicznie i sucho.

- A czego się spodziewałaś, kotku...? - słyszę i nie muszę się obracać, by wiedzieć, do kogo należy ten głos. - Nie sądziłaś chyba, że się z tobą ożeni? - Jej głos wbija się w moje bębny jak cienki szpikulec do lodu. - To byłoby tak, jakby ożenił się z orczą kobietą! - kończy swoją kwestię ciotka Puliel.

Nie patrzę na nią. Jestem ponad to. Chwilowo.

Dostrzegam piękną fontannę, w której płynie złocisty szampan. Znajduje się zaraz obok ciotki Puliel, która wbija we mnie sępie spojrzenie. Wcześniej nie zauważyłam tego musującego „wodopoju”, ale może to dlatego, że jestem typem osoby, która gustuje w szlachetnych czerwonych winach, a psotnymi bąbelkami głęboko gardzi.

Fontanna jest biała, marmurowa i ma kształt pięknej driady wylewającej z dzbanka wodę. Szampan szumi i pieni się, zachęcając, aby go skosztować.

Podchodzę bliżej, ignorując szepty dookoła mnie, oburzone spojrzenia i trzepoczące wachlarze, które podniesione są teraz wysoko, tuż pod ciekawskie oczy gości. Zanurzam w fontannie rękę. Wykrzywiam

usta, czując bolesne pieczenie. W jednej chwili jasnozłoty kolor płynu wypływającego z dzbanka – zmienia się w blady róż.

Słyszę westchnienia i lekkie okrzyki.

Och, jacy są zaszokowani! Zniesmaczeni! Banda idiotów!

Tylko Valduncio śmieje się głupawo i pociąga nosem, macając się po kieszeniach w poszukiwaniu kryształków gwiazdnego pyłu.

– Smacznego – mruczę pod nosem.

Z ponurą miną odwracam się i kieruję w stronę wyjścia z posesji. Niebo nade mną jest lekkie i obojętne. Trawa pod moimi stopami zielona i chłodna.

Ciotka Puliel wykrzywia się z odrazą.

Pożerca się nią zajmie! Spuszczam go z uwięzi. Ciach, rozcina jej głowę taflą nicości. Szatkuje, niszczy, rozrywa. Zamienia jej mózg w krwawą masę.

Odchodzę, już się na nią nie oglądając.

A szkoda.

Zobaczyłabym, że podnosi rękę do czoła i wspiera się na ramieniu Valduncia.

Jej wzrok robi się błędny.

A potem z nosa zaczyna ciec jej krew.

Teraz jednak nic mnie to nie obchodzi. Prę do przodu, już nie żegluję. Rozpycham się w tłumie jak lodołamacz. Chcę się wydostać z tego ogrodu, który jest za mały dla naszej trójki.

Czuję się niczym bohaterka powieści dla pensjonarek. Uciekam jak tchórz.

Moje serce jest tak przewidywalnie i banalnie złamane: nie chciałam banalnego romansu, mam jego banalny koniec. Od pewnych rzeczy w życiu najwyraźniej nie da się uciec.